„EUROPA NIE ŻYJE SAMYM RYNKIEM"

Ks. Alfred Wierzbicki rozmawia z Rocco Buttiglionem, Ministrem do Spraw Integracji Europejskiej w Rządzie Republiki Włoskiej

Ks. Alfred Wierzbicki: Panie Ministrze, czy to nie dziwne, że nasza ostatnia rozmowa, którą prowadziliśmy w Instytucie Jana Pawła II podczas Pańskiej wizyty na KUL-u w październiku 2000 roku, dotyczyła spraw związanych z Unią Europejską? Nikt z nas wówczas nie mógł przewidzieć, że rozmawiamy z przyszłym Ministrem do Spraw Integracji Europejskiej w Rządzie Republiki Włoskiej. Pragnę zatem w tych nowych okolicznościach powrócić do rozmowy na temat Europy. Podczas spotkania w Instytucie Jana Pawła II KUL dużo rozmawialiśmy o „Solidarności". Kilka tygodni wcześniej uczestniczył Pan jako gość w uroczystych obchodach dwudziestolecia „Solidarności", które odbywały się w Gdańsku. Jest Pan jednym z nielicznych intelektualistów europejskich, którzy z ogromnym zaangażowaniem patrzyli na wydarzenie „Solidarności" od samych jej początków w sierpniu 1980 roku. Wydaje się, że Pana własna myśl wiele czerpała z inspiracji, jakie dawała „Solidarność". Jako filozofa spraw ludzkich interesował Pana szczególnie podmiotowy wymiar pracy. Głosił Pan pogląd, że poprzez odzyskanie podmiotowości pracy ludzkiej dokonuje się wyzwolenie człowieka i całych narodów, żyjących świadomością swych chrześcijańskich korzeni. W roku 1989 rzeczywiście nastąpił upadek systemu komunistycznego, najpierw w Polsce, a potem w kolejnych krajach rządzonych przez komunistów. Wówczas zaczęto nawet mówić o końcu historii. Wkrótce jednak, bo już na początku lat dziewięćdziesiątych, nie zabrakło w Polsce ludzi, którzy publicznie przepraszali za swój udział w ruchu, jakim była „Solidarność". Co pozostaje dziś z wielkiej idei solidarności, która faktycznie przemieniła oblicze świata u kresu dwudziestego wieku? Czy „Solidarność" należy jedynie do historycznej przeszłości, czy też należy widzieć w jej idei nadal żywą moc dziejową?

Min. Rocco Buttiglione: Słuchając tego, co Ksiądz mówił, pomyślałem o moim przyjacielu, filozofie urugwajskim Albercie Methol Ferrém. Łączą mnie z nim długie godziny rozmów na temat sensu współczesnej historii. Alberto uważał, że „Solidarność" otwiera nową fazę w historii ruchu robotnicze-

go, tak jak w swoim czasie, sto lat wcześniej, uczyniła to Komuna Paryska. Była to faza, w której motywem przewodnim stała się dyktatura proletariatu. Bardzo wnikliwie historyczną nowość Komuny Paryskiej ujął Marks, którego pogląd został później rozwinięty przez Lenina w pracy *Państwo i rewolucja*. Oczywiście Komuna Paryska niemal od razu upadła i nie miała bezpośredniej kontynuacji, ale faktycznie otworzyła nową fazę w historii ruchu robotniczego. Fazę tę charakteryzują: walka klas, przejęcie władzy i dyktatura proletariatu. Uważam, że powstanie „Solidarności” zamyka ten okres i otwiera nową epokę w dziejach ruchu robotniczego. Ideą przewodnią tego ruchu nie jest już walka klasowa, lecz solidarność ludzi pracy. Polska rewolucja solidarnościowa polegała na tym, że o pracy zaczęto myśleć jako o wielkiej sile duchowej, która tworzy solidarność między ludźmi. Myślenie o pracy w kategoriach solidarności pozwala dostrzec, kiedy dochodzi do zdrady solidarności i do zagubienia jej wspaniałej siły. Otóż zdradą solidarności jest wyzysk.

A. W.: Czym jest solidarność dla człowieka? Wiadomo, że istnieją różne antropologie. Niektóre z nich nie uwzględniają solidarności jako konstytutywnego wymiaru człowieczeństwa. Ma to konsekwencje praktyczne, człowieka traktuje się wówczas jako jednostkę zdaną wyłącznie na siebie samą.

R. B.: Z konkretnego doświadczenia „Solidarności”, o której rozmawiamy, wyłania się antropologia personalistyczna. Człowiek został stworzony do życia we wspólnocie, do życia z innymi ludźmi. Jest on zarazem jednostką i członkiem wspólnoty. Głęboki namysł nad tym problemem odnaleźć można w filozofii Karola Wojtyły. Napisał on ważny dla tego tematu artykuł: *Osoba: podmiot i wspólnota*. Osoba jest podmiotem, lecz nie może się spełnić poza wspólnotą, gdyż wspólnotowość stanowi istotny i źródłowy wymiar bytu ludzkiego. Wspólnota ludzka to wspólnota osób – istnieje ona dla dobra każdej z nich. Instrumentem, który pozwala osobie spełnić się we wspólnocie, jest praca. Istnieją dwie siły, które jednoczą wspólnotę ludzką, i w obydwu przejawia się typowo ludzki sposób zaspokajania podstawowych instynktów. Należy do nich instynkt seksualny, który człowiek personalizuje poprzez wzajemną miłość mężczyzny i kobiety oraz poprzez miłość rodziców do dzieci. Podstawową komórką ludzkiej wspólnoty jest więc rodzina. Drugi instynkt natomiast związany jest z potrzebą zachowania życia i wyraża się w pracy ludzkiej. Również w tym wymiarze następuje znamienna personalizacja instynktu, warunkująca wspólnotowy charakter ludzkiej pracy. Pracując wspólnie z innymi, człowiek staje wobec konieczności tworzenia wspólnoty. Jeśli z jakichś względów tego nie czyni, zdradza naturalny wymiar pracy, polegający na tworzeniu więzi wspólnotowych. Tak dzieje się w przypadku wyzysku ludzkiej pracy. Wyzysk drugiego człowieka oznacza, że została zerwana z nim naturalna więź wspólnotowa.

„Solidarność” wniosła do naszego myślenia o pracy ludzkiej ziarno bardzo głębokiej krytyki komunizmu. Krytyka ta nie ogranicza się jednak tylko do komunizmu, odnosi się również do kapitalizmu, jeśli używamy tego pojęcia

w sensie pejoratywnym, rozumiejąc przez nie system, w którym człowiek pracy nie jest traktowany jako osoba, lecz instrumentalnie – jako narzędzie produkcji. Człowiek nie jest wówczas afirmowany jako osoba, lecz traktowany jako środek do realizacji celów pozaosobowych. Z podobną sytuacją mamy do czynienia w dziedzinie ludzkiej seksualności. Co jest podstawą do odróżniania dobra i zła w sferze seksualnej? Istotne jest to, czy druga osoba jest postrzegana i afirmowana jako osoba, czy też zostaje ona zredukowana do roli środka służącego zaspokojeniu czyjejś potrzeby. Takie uprzedmiotowienie osoby jest zdradą prawdy o osobie. Zło moralne tkwi w tym, że używa się osoby do realizacji celu, który nie jest realizacją jej jako osoby i nie ma nic wspólnego ze spełnieniem jej losu.

A. W.: Jeśli osoba nie może się spełnić w określonej wspólnocie, to taka wspólnota rozpada się, dochodzi w niej do alienacji.

R. B.: Tak, wtedy mamy do czynienia z alienacją.Trzeba zauważyć, że idea alienacji, tak jak została ujęta przez Marksa, który związał ją ściśle z dynamizmem ekonomii, upadła wraz z marksizmem. Istnieje jednak jeszcze inne rozumienie alienacji, które możemy nazwać poniekąd augustyńską ideą alienacji. Być może św. Augustyn nie jest w pełni jej autorem, ale rdzeń tej idei na pewno znajduje się w jego myśli. W tym znaczeniu alienacja jest wypaczeniem miłości. Wyalienowana miłość bowiem skupia się sama na sobie. Zamiast miłować innych, podmiot zamyka się w sobie, zaczyna gardzić drugimi i nienawidzić ich aż do odrzucenia Boga.

Prawda o ludzkiej wspólnocie odsłoniła się ze szczególną historyczną oczywistością w dziejach „Solidarności" i nie było przypadkiem to, że stała się ona wielkim historycznym wydarzeniem, w którym do głosu doszła sprawa solidarności, czyli uznania osób we wspólnocie, a zarazem uznania wartości samej wspólnoty. „Solidarność" stała się dla Polaków okazją do ponownego odkrycia wspólnoty narodowej. Fakt ten ma prawdziwie uniwersalne znaczenie. Podczas gdy marksizm widział we wspólnocie narodowej jedynie ideologiczną iluzję, za sprawą solidarności wspólnota narodowa została na nowo odkryta jako rezultat autentycznych relacji między ludźmi. Ich autentyczność wynika stąd, że budują się one w oparciu o wzajemną afirmację osób. A to znaczy, że nie mogę stać się w pełni samym sobą, jeśli nie afirmuję twojej wolności jako wolności osoby. Teza ta jest przeciwieństwem Heglowskiej dialektyki pana i niewolnika, a także odrzuceniem wcześniejszej idei Hobbesa, który głosił, że człowiek afirmuje siebie poprzez poniżenie drugiego. Prawdą jest bowiem coś innego: człowiek afirmuje siebie samego wtedy, gdy afirmuje innego człowieka. Zasługą „Solidarności" jest historyczne ukonkretnienie idei solidarności. Prawda ta leży u podstaw zwycięstwa „Solidarności". W jakim sensie „Solidarność" zwyciężyła? Upadł komunizm. To jest na pewno jej zwycięstwo. Ale czy zwyciężyła do końca? Tego pytania nie można jeszcze rozstrzygnąć. Wydaje się, niestety, że po swoim zwycięstwie „Solidarność" przynajmniej do

pewnego stopnia zaakceptowała obcą sobie postawę instrumentalnego traktowania człowieka.

A. W.: Czy nie jest to paradoks, że upadek materializmu historycznego otworzył drogę do upowszechnienia się już nie rewolucyjnej, ale w pewnym sensie bardziej banalnej, konsumpcyjnej wersji materializmu? Ryzyko tego typu widział Pan bardzo wyraźnie już w pierwszych miesiącach po upadku komunizmu w Europie. Przestrzegał Pan wówczas Polaków przed pokusą lekkomyślnego zachwytu konsumpcyjnym stylem życia, jakby widział Pan – jak kiedyś widział to Wyspiański – że łatwo jest utracić złoty róg. Na Pańską refleksję zwrócił uwagę Ojciec Święty podczas swojej pielgrzymki do Polski w roku 1991. W swoim przemówieniu do władz RP, wygłoszonym 8 czerwca 1991 roku na Zamku Królewskim w Warszawie, Papież przytoczył Pana pogląd na temat miejsca Polaków w Europie, mówiąc: „Pozwólcie, że raz jeszcze przytoczę słowa współczesnego myśliciela, tym razem nie Polaka, lecz Włocha, który ze szczególną wnikliwością wgłębia się w naszą polską specyfikę: «Polacy – pisze on – mogą albo wejść po prostu do społeczeństwa konsumpcyjnego, zajmując w nim – jeśli się im powiedzie – ostatnie miejsce, zanim nie zamknie ono definitywnie swych bram dla nowych przybyszy, albo też przyczynić się do ponownego odkrycia wielkiej, głębokiej, autentycznej tradycji Europy, proponując jej jednocześnie przymierze: wolnego rynku i solidarności»”. W Pana słowach zacytowanych przez Papieża u progu nowo odzyskanej niepodległości Polski obecna była bardzo wyraźna przestroga, ale w istocie dominowała wówczas wielka nadzieja, że światło „Solidarności” pozwoli Europie lepiej zrozumieć jej kulturową tożsamość.

R. B.: Po upadku komunizmu wszyscy mówiliśmy o Europie. Pojawiła się nadzieja, że Polska wejdzie do Europy. Nie chodzi tylko o sam fakt integracji politycznej ze Wspólnotą Europejską. Idea, która zaczęła ożywać na początku lat dziewięćdziesiątych, jest o wiele głębsza. Na potrzebę duchowej odnowy Europy uwrażliwił nas wszystkich Jan Paweł II. Zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że Europa ginie z powodu samobójczego wyniszczenia moralnego, którym były obydwie wojny światowe. Trzeba zatem, aby Europa zaczęła żyć w oparciu o solidne podstawy moralne. Zaczęliśmy dostrzegać szansę na to, że Europa odnajdzie samą siebie. Stanie się to wtedy, gdy wyzwolone spod komunizmu narody, na przykład Polacy czy Czesi, odnajdą swoje miejsce w rzeczywistości, która bez nich nie może być samą sobą, pozostaje upośledzona. Dostrzegliśmy, że z jednej strony to Polska miała potrzebę integracji z Europą, ale z drugiej strony Europa mogła odrodzić się i odnaleźć samą siebie jedynie poprzez definitywne przezwyciężenie komunizmu. Przezwyciężeniu temu towarzyszyć powinno odkrycie autentycznej wspólnoty wszystkich narodów Europy. Patrząc dzisiaj na Polskę i na Europę, trudno byłoby powiedzieć, że nadzieja na powstanie takiej wspólnoty już się ziściła. Uważam też jednak, że błędem, wręcz cynizmem, byłoby uważać, jak czynią to niektórzy, że Europa ducha, Europa

solidarności, jest mrzonką, a to, co naprawdę się liczy i triumfuje, to tylko rynek. Europa nie żyje samym rynkiem, tak jak żaden naród nie żyje samym rynkiem.

Sądzę, że znajdujemy się w przełomowym okresie, który można by określić przede wszystkim jako czas walki o pozytywne rozumienie rynku. Oczywiście potrzeba czasu, aby idea ta w pełni dojrzała. Istnieje bowiem ryzyko wąskiego rozumienia rynku, jeśli uznamy, że rynek to jedyne spoiwo relacji społecznych, i zapomnimy o tym, że praca ludzka to nie tylko rynek. Istnieje przecież, o czym była już mowa, podmiotowa strona pracy i to poprzez nią konstytuuje się wspólnota ludzka. Jeśli nie będziemy pamiętać o tym wymiarze ludzkiej pracy, nastąpi najpierw kryzys moralny, a potem również upadek polityczny narodów. Proszę spojrzeć na to, co się stało w Nicei. Mam na myśli szczyt państw Wspólnoty Europejskiej, który odbył się tam w grudniu 2000 roku. Wydaje mi się, że spotkanie to było smutnym punktem w historii sprawy europejskiej, w którym porzucony został wymiar moralny. Mówiono jedynie o rachunkach, o kosztach i o zyskach.

A. W.: Zamiast myślenia w kategoriach solidarności i wspólnoty dominuje więc wciąż myślenie w kategoriach utylitarystycznych, jakby droga do Nicei prowadziła... prosto z Jałty. Wkładając całą swą energię w osiąganie kompromisu, politycy europejscy zdają się zapominać o wartościach, dla których warto podjąć trudy i wyrzeczenia, aby ocalić Europę jako rodzinę narodów.

R. B.: Utylitaryzm jest sprzeczny sam w sobie i nie pozwala nawet na realizację dobra użytecznego. W Orędziu na XIII Światowy Dzień Pokoju Jan Paweł II bardzo trafnie powiedział, że aby móc zrealizować to, co jest użyteczne, aby osiągnąć kompromis dotyczący bezpośrednich interesów, należy podnieść wzrok do góry ku niebu wielkich wartości. To właśnie perspektywa wielkich wartości pomaga osiągnąć to, co pożyteczne – prawdziwe i trwałe dobro użyteczne. Kiedy o tym myślę, zawsze towarzyszy mi zdanie wypowiedziane przez Helmuta Kohla: „Europa nie jest kwestią rynku, ale Europa jest kwestią pokoju i wojny”. Dlaczego budujemy Europę? Dlaczego de Gasperi, Adenauer i tylu innych z takim zapałem angażowało się w sprawę integracji Europy? Czy tylko po to, aby kraje europejskie stały się bogatsze? Owszem, również i w tym celu. Lecz jestem przekonany, że robili to głównie po to, aby w Europie XX i XXI wieku nie było wojny. Tego głównego celu, tej busoli nie wolno zagubić. Ten, kto trzyma ją w ręku, rozumie także to, że dla sprawy Europy warto ponosić pewne ofiary. Czas pokaże, że przyniosą one owoce. Ten zaś, kto pragnie odnosić jedynie bezpośrednie korzyści, szkodzi sobie również z materialnego punktu widzenia.

A. W.: Wypowiedź Pana wyraźnie ukazuje dramatyczność procesu budowania Europy, jej jednoczenia się i poszukiwania tożsamości. Trzeba tu nawet mówić o „walce o Europę”, o walce, którą Europa toczy z samą sobą... W gruncie rzeczy walka ta dotyczy koncepcji Europy. Jestem dość zaniepokojony,

kiedy mówi się w Polsce, że u nas nie ma sporu o Europę. Często słyszymy deklaracje polityków zarówno z ugrupowań centroprawicowych, jak i centrolewicowych, którzy twierdzą, że istnieje między nimi zgoda co do polityki integracyjnej. Ale integracja to przecież tylko zagadnienie taktyczne, tymczasem do rozwiązania pozostaje jeszcze problem strategiczny. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, do jakiej Europy Polacy chcą należeć i jaką Europę chcą współtworzyć. Czy rzeczywiście bez większego znaczenia jest to, czy integracja Polski z Unią Europejską zostanie zrealizowana przez lewicę czy przez prawicę?

R. B.: Rzeczywiście, obecnie kluczowym problemem jest to, jaką Europę chcemy zbudować. W sprawie Europy osiągamy jedność, ale w sprawie Europy również dzielimy się. Jako parlamentarzysta byłem członkiem komisji, która pracowała nad Kartą Podstawowych Praw Obywatelek i Obywateli Europy, i niestety nie jestem zadowolony z wyniku pracy tej komisji. Karta, którą przygotowano, jest kartą praw jednostek. Nie jest ona kartą praw narodów i nie wiem, czy można o niej powiedzieć, że jest kartą praw wspólnot. W centrum uwagi tej Karty, moim zdaniem, powinien znaleźć się człowiek jako osoba i jako członek wspólnoty, tymczasem bierze ona pod uwagę jedynie człowieka jako jednostkę. Jest to dużo uboższa wizja człowieka i jego praw. Człowiek traktowany jako osoba i jako członek wspólnoty ma historię, rodzi się i żyje we wspólnocie. Ma rodzinę, należy do narodu. Co się dzieje, jeśli patrzymy na człowieka tylko jako na jednostkę ludzką? Traci on swoje wszelkie korzenie. Europa jest wspólnotą przede wszystkim poprzez kulturę. Wspólnota ta nie jest bynajmniej rezultatem umowy. Nie jest wcale tak, że dopiero godząc się na traktat o Unii Europejskiej, tworzymy Europę. Jest zupełnie inaczej. Podpisujemy traktat o Unii, ponieważ Europa istnieje jako rzeczywistość moralna, której chcemy nadać określony wyraz prawny i polityczny, prymat jednak należy tutaj do wymiaru kulturowego i moralnego. W Karcie, niestety, nie mówi się o kulturowych korzeniach Europy. Zaproponowałem schemat poprawki, w której znalazło się odwołanie do chrześcijańskich korzeni Europy. Zwrócono mi jednak słusznie uwagę, że Europa ma nie tylko korzenie chrześcijańskie. Istnieją przecież wcześniejsze korzenie judaistyczne, z których wyrasta chrześcijaństwo. Zgodziłem się i zaproponowałem formułę „judeochrześcijańskie korzenie Europy". Ale to nie wystarczyło.

A. W.: Czy dlatego, że ktoś upomniał się o Sokratesa?

R. B.: Faktycznie ja sam w dalszej dyskusji zaproponowałem odwołanie się do korzeni judeochrześcijańskich i grecko-rzymskich, a ponadto do korzeni oświeceniowych. Oświecenie może się komuś podobać lub nie podobać, ale było ono istotnym momentem tworzenia się tożsamości europejskiej. Jak mówić o Europie bez oświecenia? Moja formuła, o którą walczyłem, brzmiała zatem: „korzenie judeochrześcijańskie, grecko-rzymskie i oświeceniowe". W głosowaniu jednak nawet to nie zyskało akceptacji. Mamy więc dokument,

według którego Europa nie ma żadnych korzeni kulturowych. Jest to poważny brak. Na czym bowiem można oprzeć wspólnotę narodów Europy, jeśli Europejczycy nie chcą przyznać się do swoich korzeni?

A. W.: Jaki wpływ na politykę ma próba oderwania się od tradycji? Czym staje się polityka pozbawiona pamięci i ignorująca podstawowe wartości, na których opiera się ludzka wspólnota?

R. B.: Polityka taka niesie ryzyko, że stanie się systemem, w którym spotkają się skrajny liberalizm i nowa forma socjalizmu. Europa może się stać zbiorowiskiem indywidualnych egoizmów. Rola polityki ograniczy się wówczas do dyktowania reguł, które pozwolą współistnieć różnorodnym egoizmom indywidualnym. W takim systemie nikt nie widzi w drugim swego bliźniego i nikt nie odkrywa w nim samego siebie. Człowiek akceptuje życie w społeczności, ponieważ jest to dla niego wygodne – w społeczności dostrzega jedynie źródło korzyści dla swojego partykularnego egoizmu. Przypominam sobie pewien fragment *Chórów z „Opoki"* T. S. Eliota. Obcy – postać, która odznacza się umiejętnością stawiania pytań, mówi: „Jak żyjecie jeśli nie żyjecie razem? / Nie ma życia poza wspólnotą. Nie było wspólnoty, która nie żyła w chwale BOGA. [...] A wy żyjecie rozproszeni na wstęgach dróg"[1]. Tymczasem Europie grozi utrata świadomości prymatu kultury, co przejawia się dziś w niezdolności do rozpoznania i uznania swych korzeni. Stoimy więc przed następującą alternatywą: Europa ojczyzn, Europa narodów, Europa rodzin lub Europa jednostek i rynku. W najbliższym czasie nastąpi przygotowanie nowego traktatu o Unii Europejskiej, nowej „konstytucji europejskiej". Będziemy zatem musieli podjąć poważną debatę na ten temat. Dyskusja ta jest konieczna, moim zdaniem, również z tego powodu, że nie będziemy w stanie zrealizować wizji Europy jednostek, rynku i biurokracji. Kiedy bowiem zanika perspektywa wartości, wówczas logika interesów, które nie są postrzegane w perspektywie ideałów, nie są im podporządkowane, nie jednoczy, lecz dzieli. Tego właśnie obecnie doświadczamy. Spieramy się o wszystko, ponieważ brakuje nam zdolności do ponoszenia ofiar w imię wyższych ideałów. Sądzę, że ostatnim wielkim europejskim mężem stanu był Helmut Kohl, który rozumiał sens ideałów w polityce. Ponieważ był człowiekiem, który osobiście pamiętał wojnę, zdawał sobie głęboko sprawę z tego, że Europa nie jest jedynie problemem ekonomicznym. Kohl zawsze stał na straży interesów Niemiec, często wypowiadał się bardzo stanowczo, niejednokrotnie wykorzystywał dominującą pozycję Niemiec dla osiągnięcia konkretnych celów, ale kiedy chodziło o sprawy Europy, rozumiał, że w interesie Niemiec leży poświęcenie bezpośrednich korzyści dla sprawy pokoju. Dzisiaj zarówno w Niemczech, jak i w innych krajach ekonomicznie silniejszych przeważa zupełnie inne nastawienie. Chcemy jak najwięcej środ-

[1] T. S. Eliot, *Chóry z „Opoki"*, w: tenże, *Poezje*, tłum. M. Sprusiński, Kraków 1978, s. 163 (przypis redakcji).

ków zatrzymać dla siebie i jak najmniej płacić na rzecz poszerzania Unii. Wiele jednak w ten sposób nie osiągniemy, a nawet ryzykujemy utratę tego, co już zdobyliśmy. Zatraciliśmy ducha solidarności i – jako Europejczycy – musimy go odnaleźć, aby móc zbudować autentyczną Europę. Kwestia podniesiona przez „Solidarność" okazuje się centralna w obecnym momencie historycznym, za który ponosimy bezpośrednią odpowiedzialność.

A. W.: Niektórzy uważają, że w ostatniej dekadzie Unia Europejska oddaliła się od autentycznego ducha solidarności, gdyż zajęła się doskonaleniem instrumentów ściślejszej integracji państw, które już są jej członkami. Pogłębia to jeszcze bardziej przepaść między Unią a krajami, które dopiero pretendują do członkostwa.

R. B.: Istotnie struktura, którą stworzyliśmy, jest przesadnie biurokratyczna. Nie udało się nam zrealizować zasady pomocniczości i wyposażyć Unii w kompetencje, które pozwoliłyby jej zająć się sprawami przekraczającymi możliwości pojedynczych państw. Słabością Unii jest to, że ma ona liczne kompetencje w tych dziedzinach, w których poszczególne państwa same doskonale poradziłyby sobie. Odnosi się to do wielu konkretnych spraw, na przykład dotyczących norm prawnych, o których w większym stopniu powinny decydować regiony. W rezultacie obywatel czuje się pozbawiony podmiotowości, ponieważ o sprawach, o których mógłby decydować sam, zgodnie z zasadą pomocniczości, decyduje za niego Europa. I odwrotnie, w najważniejszych sprawach, w których obywatel powinien oczekiwać od Unii istotnych gwarancji, okazuje się, że zjednoczona Europa nie ma odpowiednich kompetencji, aby móc mu takie gwarancje zaoferować. Na przykład naczelnym celem polityki jest pokój. Czy państwo polskie lub państwo włoskie może zagwarantować pokój? Nie, nie może. Dramatyczne doświadczenie drugiej wojny światowej przekonuje nas o tym w sposób oczywisty. Pokój może natomiast zagwarantować Europa. Dotychczas jednak Unia nie ma żadnych kompetencji w dziedzinie obrony czy polityki zagranicznej. Przypomnijmy, jak doszło do drugiej wojny światowej. Obywatele Niemiec, Włoch i innych krajów byli przekonani o tym, że nie mogą uzyskać koniecznych do życia środków na drodze uczciwej konkurencji międzynarodowej. Uważali, że świat został podzielony na zamknięte sfery wpływów ekonomicznych i że w związku z tym środki konieczne do życia można zdobyć jedynie z bronią w ręku. Po tym doświadczeniu zrozumieliśmy, że potrzebna jest europejska polityka gospodarcza. Pamiętać jednak należy, że nie może ona przekreślać zasady pomocniczości. Pozostaje szeroki zakres spraw, które trzeba rozwiązywać na poziomie narodowej polityki gospodarczej. Europa nie może niszczyć tożsamości narodowej swoich krajów, lecz powinna respektować suwerenność narodów. Dotykamy tu jednak już innego tematu, a mianowicie pojęcia suwerenności.

A. W.: Zatrzymajmy się przy tym temacie. Wydaje mi się on niesłychanie doniosły także z uwagi na dyskusję, jaka toczy się w Polsce. Przeciwnicy inte-

gracji Polski z Unią Europejską dość często argumentują, że wstąpienie do Unii pociągnie za sobą utratę suwerenności narodowej.

R. B.: Pozwolę sobie nawiązać do mojego własnego artykułu *Suwerenność narodu przez kulturę*, który napisałem dla „Ethosu". Jest to komentarz do przemówienia Jana Pawła II w Lublinie podczas pielgrzymki w roku 1987. Papież mówił wówczas o suwerenności narodów i ten temat podjąłem w moim artykule. Istnieje pojęcie suwerenności typowe dla czasów nowożytnych. Jego autorem jest Jean Bodin, dla którego suweren jest kimś, kto nie uznaje żadnej zwierzchności nad sobą (superiorem non recognoscens). Carl Schmitt wyraża tę ideę, mówiąc o kompetencji nad kompetencjami. Oznacza to, że cała władza zostaje skupiona w jednym punkcie i jedynie pewna jej część może być delegowana komuś innemu. Praktycznie może to wyglądać następująco: Superpaństwo Europejskie deleguje państwo polskie do zajmowania się określonym problemem, lecz kompetencję do określania kompetencji posiada tylko ono. Suwerenność, według tej koncepcji, może być tylko jedna, należy do jedynego suwerena. Właśnie ta koncepcja suwerenności jest konfliktogenna i od samego początku prowadzi do wojny. Pretensję do absolutnej suwerenności może rozstrzygnąć tylko walka, a suwerenem jest ten, kto w niej zwycięża. W oparciu o taką koncepcję suwerenności nie można zbudować Europy jako wspólnoty narodów. Sądzę, że Europa rodzi się raczej z opozycji w stosunku do takiego rozumienia suwerenności.

Istnieje inna koncepcja suwerenności, zawarta na przykład w prawie kanonicznym, koncepcja, która została zastosowana w wielu konkordatach między Stolicą Apostolską i poszczególnymi krajami. Zwykle konkordat rozpoczyna się od stwierdzenia, że Kościół i państwo są niezależne i suwerenne we właściwym sobie porządku. Według tej koncepcji nikt nie jest suwerenem absolutnym. Suwerenem w sensie absolutnym jest bowiem jedynie Bóg. Pozostali suwereni są suwerenami secundum quid we właściwym sobie porządku. Zadaniem ich jest ochrona i dbałość o wolny rozwój, bez ingerencji zewnętrznej, tych dóbr, które zostały powierzone ich trosce. W tym sensie we właściwym sobie porządku suwerenna jest rodzina, suwerenny jest naród i suwerenna jest Europa. W tej koncepcji suwerenności struktury państwowe, poprzez które narody realizują swe własne dobro, są precyzyjnie określone.

Uważam, że suwerenność państwowa, jaką znał wiek dziewiętnasty, już nie istnieje. Nie dlatego nie istnieje, że powstała Unia Europejska, lecz ponieważ ten typ suwerenności nie odpowiada już rzeczywistości współczesnego świata. Rozmawiałem kiedyś na ten temat z prezesem Banca d'Italia. Powiedział mi, że od kiedy istnieje wspólna waluta europejska, staliśmy się bardziej suwerenni niż wówczas, gdy istniała nasza waluta narodowa. Co mógł wtedy zrobić prezes Banca d'Italia? Gdy Niemcy suwerennie podwyższały stopy oprocentowania, ponieważ było to w ich interesie, minutę później prezes Banca d'Italia czynił to samo, gdyż lir zależny był od marki. Jeśli był sprytny, uprzedzał nawet decyzję

Deutsche Bundesbank. Cała suwerenność prezesa Banca d'Italia ograniczała się do śledzenia tego, co dzieje się z marką, i do podejmowania natychmiastowych decyzji. Ale od kiedy istnieje wspólna waluta europejska, jest on jednym z dwunastu członków zarządu, który podejmuje decyzje. Jego głos znaczy obecnie więcej niż wówczas, gdy Banca d'Italia zachowywał swą formalną suwerenność. Obecnie ma więcej możliwości zabezpieczania bezpośrednich interesów Włoch. Nie mógł tego robić, będąc formalnie suwerenem, ponieważ aby uchronić Włochy przed katastrofą finansową, musiał dostosowywać politykę finansową swego kraju do polityki kraju silniejszego. Podobnie trzeba spojrzeć na zagadnienie obrony. Nie łudzimy się przecież, że Włochy czy Polska mogłyby się same obronić w przypadku zewnętrznej agresji. Wspólnie możemy zagwarantować pokój w Europie, lecz jako samodzielne państwa pozostajemy bezbronni. Podobnie sprawa przedstawia się w zakresie polityki zagranicznej. Państwo włoskie nie mogło mieć wielkiego wpływu na rozwiązanie dramatu Bośni czy dramatu albańskiego. Nie mamy wpływu na rozwiązanie konfliktu na Bliskim Wschodzie. W podobnej sytuacji jest każde państwo europejskie. Jako suwerenne kraje, państwa europejskie pozostają bez wpływu na wydarzenia międzynarodowe. Siła ich wzrośnie dopiero wtedy, kiedy zaczną prowadzić wspólną politykę europejską. Rzecz jasna, że nawet wówczas nie będziemy w stanie rozwiązać wszystkich problemów; zmieni to jednak korzystnie naszą pozycję międzynarodową.

A. W.: Czy jednak Unia Europejska nie jest w tej dziedzinie zbyt opieszała? Dramatyczny wydaje się paradoks, że integracja europejska zrodziła się z woli zapewnienia pokoju w Europie, a tymczasem brakuje skutecznych instrumentów działania na rzecz pokoju w samej Europie i w najbliższym jej sąsiedztwie.

R. B.: Podzielam tę wątpliwość. Nasza polityka zagraniczna jest wciąż zbyt słaba w porównaniu do naszych możliwości. Trzy obszary, o których mówiłem: wspólna europejska polityka obronna, wspólna europejska polityka zagraniczna i wspólna europejska polityka gospodarcza, wymagają opracowania bardziej efektywnych instrumentów działania. Zadaniom tym żadne narodowe państwo w Europie nie jest w stanie podołać samodzielnie.

Sprawy, które możemy załatwić sami na poziomie narodowym, niech lepiej pozostaną w kompetencji państw i regionów. Oburzam się zawsze, kiedy z Unii Europejskiej przychodzi dyrektywa mówiąca na przykład, w jaki sposób trzeba produkować ser alpejski albo szynkę wiejską. Są to przecież produkty typowo włoskie, znane u nas od stuleci. Humorystyczne jest to, że Bruksela chce nam, Włochom, mówić, w jaki sposób mamy wytwarzać produkty, które sami kiedyś wynaleźliśmy.

A. W.: Może należałoby w Brukseli upowszechnić znajomość niektórych fragmentów *Boskiej Komedii* Dantego i *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza, aby nie zagubić świadomości kulturowego pluralizmu, który w sposób elemen-

tarny wyraża się także w sztuce kulinarnej? Co do Dantego, to warto cytować go na forum Parlamentu Europejskiego także z tego powodu, że rozumiał on, na czym polega prawdziwa kodyfikacja prawa. Wkłada on w usta Justyniana, który utożsamia się z Juliuszem Cezarem, te oto słowa:

> Cesare fui e son Giustiniano,
> Che, per voler dal primo amor ch'i'sento
> Dentro le leggi trassi il troppo e l'vanno[2].

R. B.: „Il troppo e l'vanno”. Usunąć to, co zbyteczne i jałowe, co jednak w istocie nie jest ani zbyteczne, ani jałowe. To nie Justynian natomiast, nie imperator, ma o tym decydować, ale kraj i region, na przykład Abruzzo, Campagna we Włoszech...

A. W.: Czyli suwerenny naród, suwerenny poprzez swoją kulturę...

R. B.: Tak, należy zachować system kulturowej suwerenności narodu. Wszystko to, co jest elementem tożsamości narodowej, podlega kompetencji państwa narodowego. Unia nie powinna w tych sprawach interweniować, a jedynie współpracować z państwem narodowym. Współpraca ta ma polegać na przejściu od koncepcji jedynej suwerenności do koncepcji wielu suwerenności, które współpracują ze sobą. Z tego punktu widzenia prawo kanoniczne jest właściwym modelem dla rozwiązań prawnych w Unii, ponieważ nigdy nie przyjęło idei suwerenności, która zatriumfowała w dziewiętnastym wieku. W prawie kanonicznym zawsze respektowano istnienie co najmniej dwóch różnych porządków: Kościoła i państwa.

A. W.: Niewątpliwie idea suwerenności wynikająca z zasady pomocniczości jest charakterystyczna dla prawa kanonicznego. Wydaje mi się ponadto, że leży ona u źródeł europejskiej kultury prawnej. Można ją odnaleźć w republikańskim prawie rzymskim, które jest inspiracją również dla współczesnego federalizmu.

R. B.: Oczywiście, jest to bowiem idea suwerenności, według której każda wspólnota jest niepodległa we właściwym sobie porządku. Jeden porządek nie wyklucza drugiego, a sama wielość porządków skłania do współpracy pod warunkiem, że respektowana jest wielość kompetencji.

A. W.: Jak bliska lub jak daleka od realizacji tego ideału prawnego jest Unia Europejska?

R. B.: Problem dotyczy przede wszystkim konstytucji europejskiej, którą powinniśmy w przyszłości uchwalić. W jej pierwszej części odwołamy się do typowej dla Europy koncepcji człowieka. Uważam, że „człowiek europejski” powinien wyraźnie uznać swoje korzenie kulturowe i prymat wartości kultury nad innymi wartościami, inaczej budowa Europy jako wspólnoty politycznej

---

[2] Tam cezar, tutaj Justynian się zowę; / Ja to z praw księgi, Pramiłością tknięty, / Powypleniałem zbytnie i jałowe. (Dante A l i g h i e r i, *Boska Komedia*, *Raj* VI, 10-12, tłum. E. Porębowicz).

zawiśnie w próżni. Druga część tej konstytucji powinna zawierać charakterystykę instytucji europejskich i określenie precyzyjnych warunków współistnienia różnych suwerenności. Należy utworzyć taką architektonikę konstytucyjną, która będzie respektować suwerenność narodów, wskazując jednocześnie na te obszary polityki, w których suwerenność poszczególnych narodów jest możliwa jedynie za zgodą wszyskich państw tworzących Unię.

Można powiedzieć, że idealnym modelem takiego związku jest małżeństwo. Chociaż każdy z małżonków ma własną wolę, wiele celów małżonkowie osiągają jedynie poprzez wspólne działanie. Nikt przecież nie powie, że zrodzenie i wychowanie dzieci ogranicza wolność ojca i matki. Wspólnota małżeńska spełnia wolność obydwojga małżonków, ponieważ tylko we dwoje, razem, są zdolni wypełnić zadania rodzicielskie.

A. W.: Słuchając Pana wyjaśnień, zaczynam również rozumieć, w jak wielkim stopniu mądrość polityczna rodzi się z doświadczeń życia rodzinnego, z przeżyć właściwych mężowi i ojcu.

R. B.: Rodzina jest podstawowym modelem każdej wspólnoty ludzkiej i dlatego we wspólnocie rodzinnej można odnaleźć na poziomie elementarnym te dynamizmy, które kształtują wszystkie typy ludzkiej wspólnoty.

A. W.: Porozmawiajmy jeszcze o nadziei odnowy kultury Europy. Jestem przekonany, że nadzieję tę można budować na wierze chrześcijan. Pamiętam obrazy ze Światowego Dnia Młodzieży w Rzymie w Roku Wielkiego Jubileuszu 2000. Zanim zakończyło się spotkanie, widzieliśmy Papieża śpiewającego wspólnie z młodzieżą. Był to bardzo sugestywny obraz. Jaka jest nasza muzyka? – pytał Pan, powtarzając pytanie Platona w swym ubiegłorocznym wykładzie w Lublinie, który zatytułował Pan „Ból polityki". Jaka jest zatem nasza muzyka? Jakie znaki nadziei możemy odnaleźć na początku trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa?

R. B.: Uważam, że nasza epoka to epoka, która nadeszła po załamaniu się racjonalizmu – nie tylko marksizmu, ale racjonalizmu w ogóle, jeśli przez racjonalizm rozumiemy teorię, za pomocą której konstruowana jest pewna religia świecka i w której mówi się, że istnieje doskonały system społeczny, realizujący pełnię dobra na ziemi. Religia transcendentna staje się wówczas bezużyteczna. Nie potrzebujemy modlić się czy czekać na Mesjasza, aby nas zbawił, ponieważ możemy sami się zbawić. Nasza epoka nie jest jeszcze epoką wiary, lecz raczej epoką poszukiwań. Wyczerpał się już ów optymistyczny ateizm, którego rzecznicy byli przekonani, że wszystkie problemy człowieka mogą zostać rozwiązane. Człowiek jednak nie jest problemem, człowiek jest tajemnicą. W gruncie rzeczy nie oczekuje na rozwiązania. Rozwiązać można problemy i tych rozwiązań mamy wiele. Czymś innym jest tajemnica – jej nie da się rozwiązać, gdyż nie leży to w naszej mocy. Tajemnica zawsze pozostaje strukturalnie otwarta. Dzisiaj człowiek nie szuka rozwiązania swoich problemów, poszukuje raczej zba-

wienia. Dlatego w naszej epoce ścierają się ze sobą desperacja i nadzieja. Jeśli nie ma Boga, który może nam wyjść na spotkanie, jesteśmy zgubieni.

Fazę historyczną, którą obecnie przeżywamy, znamionuje utrata pewności, że człowiek sam może się zbawić, charakterystycznej dla marksizmu. Jest to faza, w której człowiek albo wyrzeka się swego człowieczeństwa, albo powinien otworzyć się na nadzieję, którą przynosi Objawienie. W latach mojej młodości ukazywało się czasopismo pod znamiennym dla tamtych czasów tytułem: „Socialisme ou Barbarie". Niosło ono następujące przesłanie: albo socjalizm jako realizacja religii świeckiej, albo barbarzyństwo człowieka, który gubi sam siebie, nie przystając do socjalizmu. Dziś moglibyśmy założyć nowe pismo pod innym tytułem, powiedzmy „Foi ou Barbarie" – albo człowiek odnajduje siebie w wierze, albo zatraca się w barbarzyństwie. Można by nawet temu pismu nadać tytuł jeszcze bardziej definitywny: „Christianisme ou Barbarie", ponieważ w historii Europy wiara jest wiarą chrześcijańską.

A. W.: Wydaje się, że sens pojęcia Europy ujawnia się głębiej, kiedy stawiamy sobie pytania dotyczące sensu ludzkiego życia. Augusto Del Noce scharakteryzował kiedyś nową postać totalitaryzmu właściwego społeczeństwu konsumpcyjnemu, mówiąc o lęku przed stawianiem pytań. Często jest to lęk, który rodzi ucieczkę od siebie i pogrąża nas w barbarzyństwie. Alternatywą, którą przedstawia Pan jako alternatywę nadziei, jest odnalezienie duchowych korzeni Europy, co pozwoli odkrywać prawdę ludzkiego serca.

R. B.: Rzeczywiście. Należy jednak pamiętać, że odnalezienie prawdy ludzkiego serca nie ma nic wspólnego z sentymentalizmem. Serce jest momentem syntetycznym życia osoby, dzięki któremu człowiek odnosi rzeczywistość wokół siebie do swoich najbardziej podstawowych aspiracji oraz decyduje, dla jakiej sprawy warto podjąć życiowe ryzyko. Życie stale wiąże się z ryzykiem. Jest ono zakładem o najwyższą stawkę. To w sercu człowiek decyduje o tym, co warto kochać i czy dla tej miłości warto zaangażować swoje życie. Dzieje się tak, ponieważ w sercu człowiek odnajduje prawdę. Jest to temat, który po mistrzowsku rozwija nasz wspólny przyjaciel ks. Tadeusz Styczeń. Uznanie prawdy jest aktem intelektualnym i jednocześnie aktem moralnym. Nie realizujemy prawdy, jeśli nie przyjmujemy ryzyka, jakie pociąga miłość prawdy.

A. W.: Przypomnę maksymę św. Pawła: Veritatem in caritate facientes. To, co naprawdę się liczy, to czynienie prawdy. Prawda bowiem angażuje nas nie tylko teoretycznie, ale przede wszystkim dogłębnie egzystencjalnie.

R. B.: Chodzi nie tylko o poznanie (cognoscere), ale o życie (facere).

A. W.: Dlatego każdy człowiek, a chrześcijanin poprzez swą wiarę w sposób świadomy, jest wezwany do tego, aby dawać prawdzie świadectwo, którego najpełniejszym wyrazem jest męczeństwo.

R. B.: Istotnie. Mówiono: „Cognosco ut faciam" oraz „intelligo ut credo". Prawdziwa jest również sytuacja odwrotna. Nie mogę poznać prawdy, jeśli wcześniej nie uwierzyłem. Jeśli nie umiłowałem takiej możliwości życia, w którą

wpisane jest świadectwo, nie mogę również zrozumieć tego wszystkiego, co w rzeczywistości pokazuje ta perspektywa życia, która mnie stymuluje.

A. W.: A jak w aspekcie służby prawdzie, do której człowiek jest wezwany z racji swego człowieczeństwa, można zdefiniować politykę?

R. B.: Polityka jest tym, co dzieje się pomiędzy jednostką a wspólnotą, to znaczy pomiędzy interesami a tym, co idealne. Jest ona trudem pośredniczenia między interesami, z troską o sprawiedliwe zaspokojenie ludzkich potrzeb w świetle prawdy obiektywnej. Zadaniem polityki jest więc budowa jedności ciała społecznego.